POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXII WARSZAWA, DNIA 3 MAJA 1930 ROKU NR. 18

ANDRZEJ STRUG

12)

ŻÓŁTY KRZYŻ

— Fell, pamiętaj o zdrowiu, pamiętaj o swojej duszy, na tobie nie powinno być żadnej skazy...

Zdrowie? Dusza? Cóż za bzdury! Każdej chwili może zginąć, jego zawodem jest szukać śmierci po morzu, a tu mu wyjeżdżają ze zdrowiem. Na co mu zdrowie, po co dusza, kiedy i tak może dziś jeszcze wszystko to razem z nim pójdzie na dno? Niech ona sobie wierzy, że czekają ich lata spokojne i szczęśliwe, on wie oddawna, wie niezbicie, że nie dożyje końca.

Szybko odemknął szafeczkę, wyjął ampułkę i nie bawiąc się w żadne dezynfekcje igły, zapuścił ją w przedramię.

— Fell, nie rób tego...

W jej ukochanym głosie ozwał się bolesny wyrzut, był to jej szept najcichszy, pokorny, serdecznie błagalny. Słyszał go tak wyraźnie, jakgdyby przyłożyła usta do jego ucha. Przymknął oczy i wchłaniał jej obecność. Zawstydził się po niewczasie, jak przyłapany na gorącym uczynku. Napróżno przed nią kłamać, ona i tak wie o nim wszystko swoim nadludzkim zmysłem odgadywania.

— Rito, Rito — tyś mądra, ty czytasz myśli w człowieku, ale nigdy nie byłaś ty, maleńka, komendantem łodzi podwodnej... Zważ, Rito — w czwartym roku wojny!... Już nie mogę, jak dawniej, Bóg widzi, że nie mogę.

Tłomaczył jej, jak dziecku, jak dziecko dziecku, że na te dwa dni do powrotu zabrakło mu woli i myśli i życia, a trzebaż przeprowadzić statek przez pola minowe a przedtem, któż wie, co się może nadarzyć po drodze? Na jego głowie najcenniejszy skarb narodu — łódź podwodna, która jedna złamać zdoła Anglję, a ileż ich ginie teraz i na dwie stracone zaledwie jedna przybywa nowa... Na jego głowie dwudziestu ośmiu dzielnych ludzi, zaprawionych w walce, każdy z nich stanie za dwudziestu, a gdy ci zginą, już nikt ich nie zastąpi. Trzebaż mieć jasność myśli i wolę, i odwagę, i szybką, błyskawiczną gotowość do decyzji... Skądże ja mam to wziąć i jak? Ty najdroższa...

Już dochodzi do zamulonych, stężałych zwojów mózgu pierwsze tchnienie czarodziejskiej trucizny, wraca życie. Powstaje z martwych człowiek, powalony przez potworny trud. Lejtenant baron von Tebben-Gerth przywdziewa kurtę skórzaną, kaptur, pogwizduje sobie i jak obudzony ze snu zapomina i już nie wie, czem był dopiero przed chwilą.

Gdy wyjrzał na świat, owiał go zimny wicher i na przywitanie odrazu chlusnął weń spieniony grzebień fali. Wezwał przez tubę bocmana, odesłał na dół oficera nawigacyjnego.

— Idź, odpocznij trochę Fred, bo walimy na tego Holendra.

Fred, zsiniały, nikły, czarnooki człowieczek, skrzywił się i potrząsnął głową jakby z dotkliwą odrazą.

— A co?

— To mi jakoś śmierdzi, bo zablisko brzegu. Mogą mieć w pogotowiu coś takiego... Twój Holender mógł się dobrze opasać minami, zanim zaczął wołać o ratunek.

— Będziemy się trzymać dobrze zdaleka.

— A mgła? Wymanewruje nas, cholera, żebyśmy właśnie wdepli.

— Mgła się właśnie rozchodzi, idź spać.

— Over - Bank — djabelnie płytko, niema gdzie się podziać przed granatami. I do tego jedna jedyna ostatnia torpeda.

— Tak ci jej żal? Chcesz ją przywieźć do domu?

— Napewno ma za plecami torpedowce, mówię ci, że djabelnie zablisko do brzegu. Zresztą wszystko mi jedno — robić to robić.

Ochota wezbrała w sercu komendanta. Z rozkoszą toczył okiem po zwichrzonem morzu. Zakapturzony, ociekający wodą sternik stał na sterze, jak posąg, zapatrzony w dal nieruchomem, kamiennem okiem; żyło tylko koło steru w jego rękach, migocąc szprychami bądź puszczone, bądź podbierane, utrzymując statek przeciwko wiatrowi i przeciw fali. Komendant przywiązany był do wszystkich swoich ludzi, ale tego lubił nad innych. Podoficer floty Gebeschuss był z nim od samego początku wojny, towarzyszył mu we wszystkich wyprawach dookoła Anglji na morzu Irlandzkiem, na morzu Śródziemnem, w Dardanelach, na Azorach i wszędzie. Wzorowy robotnik wojny, zawsze spełniał swój obowiązek poprawnie, milcząco, ale nigdy nie zapalał się w boju, jak niektórzy, nic w nim nie było z awanturnika i właściwie nic z żołnierza. Gebeschuss nigdy się nie cieszył, gdy patrzał, jak storpedowany lub rozstrzelany okręt konał i pogrążał się, nie śmiał się do rozpuku, jak inni, gdy widział gorączkowy, obłąkany ruch na tonącym statku, na przepełnionych szalupach, szukających ratunku na groźnej fali na pełnem morzu i ginących w oczach jedna po drugiej. Nie radował się ze zdobyczy, nie martwił się, gdy po tygodniach krą-

żenia po morzu nic się nie trafiło. Było mu wszystko jedno, robił swoje i milczał. Momenty grozy znosił lepiej od innych, nie lękał się niczego, jak gdyby i to mu było wszystko jedno, czy zginie, czyli wyjdzie cało. Koledzy go lubili, choć rzadko kiedy się odzywał, za to jak coś ze siebie wydusił, było to mądre słowo, przecinające spory albo niespodziany, kapitalny „witz", którym załoga żyła przez czas dłuższy i który natychmiast bocman raportował komendantowi i oficerom. W wolnych chwilach spał lub czytał zapamiętale swoje grube książki, oprawne w zieloną skórę — było to stare wydanie ukochanego przezeń Jana Pawła Richtera, które odziedziczył po ojcu. Stąd koledzy, którzy nigdy nic nie czytali, przezwali go — Herr Richter.

A komendant wiedział od dwuch lat na podstawie tajnego cyrkularza, że Gebeschuss jest niebezpiecznym krańcowym socjalistą. Choć nie ustalono jego związku z Niezależnymi, miał on podlegać surowej obserwacji. Komendant zachował te obserwacje dla siebie jednego i był z nim po dawnemu na dobrej stopie. Nie rozmawiał z nim nigdy, ale nie minął go, żeby z nim nie zamienić paru słów o niczem. Czasami, gdy byli sami, rzucał dla żartu jakąś mglistą aluzję, jak gdyby sam był potajemnym rewolucjonistą. Ale Gebeschuss nigdy się z niczem nie wyrwał na te przyjacielskie prowokacje. Tak samo i teraz.

— Ciekawa rzecz, co się tam stało w Rosji przez te dwa tygodnie, może już djabli wzięli bolszewików. Jak myślicie, Herr Richter?

— Nic im nie zrobią wszyscy djabli, panie komendancie, bo ich sam djabeł urodził.

— Djabeł?

— Tak jest, panie komendancie — nie z czego inszego, a z wojny się ulęgli.

— To znaczy, że i wszędzie tak będzie? Tak powiadacie?

— Ja nic nie powiedziałem, panie komendancie.

— No, to gadajcie!

Sternik zmilczał. Bocman wychylił głowę z pod dolnej klapy.

— Ze sztabu, panie lejtenancie!

— Odcyfrowane?

— Robi się.

Klapa opadła. W tej samej chwili fala zalała górny kiosk powyżej kolan. Zdawało się, że czaiła się na moment otwarcia klapy, żeby lunąć i zalać dolny posterunek — nie zdążyła.

— Co tam znowu djabli nadali — myślał baron. Depesze przychodziły codzień, zapewne znowu nic, jakieś głupie ostrzeżenie, fałszywe albo spóźnione, jak zwykle. Bał się jednak, że każą mu wracać w straszliwą gardziel La Manche, usianą minami i poprzegradzaną już o tej porze niemal szczelnie całym labiryntem sieci podwodnych zdradzieckich, śmiertelnych... Był znużony. W wizji oglądał już na horyzoncie trawler, niemiecki wyławiacz min, który czeka nań, żeby go przeprowadzić przez angielskie i własne pola minowe. Od tej chwili — spokój i odpoczynek — Cuxhaven — raport. Statek idzie na oględziny i gruntowną naprawę do Wulcan-Werke, a on — do domu conajmniej na dwa tygodnie.

W chwili przygnębienia pozwolił był sobie wywołać obraz Rity — źle uczynił. Odtąd już będzie spętany, nieswój. Żadnej ochoty bojowej, ani uniesienia, ani gry na przepadłe. A niekiedy, niekiedy — baron otrząsnął się ze wstydu i wstrętu... Tak, wypełznie widmo strachu. Gdy siła woli pójdzie na zwalczenie strachu, na jego ukrycie przed ludźmi załogi, którzy w momencie grozy patrzą struchlałemi oczami w twarz komendanta... Odejdź, Rito, zniknij... Litości, Rito, podziejże się gdzieś...

Wolny, pusty przestwór morza zapełnił się ponurością, ściemniło się i spienione białe czuby fal zaświeciły dookoła, jak wyszczerzone zęby, gotowe kąsać, miażdżyć, pożreć kruchą drobinę łodzi. Szalał w nich urągliwy śmiech żywiołu nad odwagą i wolą człowieka. Wszystko dokoła stało się złe, chmurny zmierzch i wicher, i fala, i smugi śniegu, zacinające ostro. We wnętrzu statku zajęczały, zawyły ze strachu jego żywe głosy — nigdy tak nie skarżył się Diesel, nigdy jeszcze tak złowrogo nie zawodziły śruby. Pompy załkały spazmatycznie, upust motoru hałasował, jak w obłędzie.

Jakże szybko minęła władza czarownej trucizny... Moment samoomamienia, nic więcej. O gorzka nędzo Niemiec! Nie masz już biedna ojczyzno nic rzetelnego, nawet w aptece. Udane podobieństwa leków, podrobione marne ersatze, które dają zaledwie chwilę zapomnienia. To bezczelne oszustwo wzbudziło w nim szał wściekłości. Od dwuch tygodni woził ze sobą skarb fałszywy, przemagał się, walczył z pokusą, a gdy nadeszła najgorsza godzina i uległ — oto go masz. Zaklął głośno ostatniemi słowy, nie bacząc na sternika, ale ten zachowywał się, jak głuchy, nawet nie spojrzał na komendanta.

Twardy, zlodowaciały śnieg przelatywał poziomemi smugami. Przecinali pas nawałnicy i znów otwierało się czyste morze. Raz po razu ogarniał ich zamęt śnieżycy.

— Panie komendancie, trawler pracuje ledwie, że za prawą burtą naskos, prawie wprost!

— Co za bzdury, nic niema!

— Jak miniemy śnieżycę, zaraz go będzie widać, ale i nas też. Brać w lewo na 90°?

— Milczeć! Nie wasza rzecz!

— Stoi o dwa tysiące pięćset, nie dalej, panie komendancie.

— Do cholery, mówię — milczeć, kiedy ja tu jestem! Zrozumiane?!

— Panie komendancie, przecie on wybiera nasze miny, któreśmy tu zakładali przed tygodniem.

Tuman śnieżny przeleciał i odsłonił dalekie czarne widmo, leżące płasko na wozie, a nad niem obłok dymu, który wiatr szarpał i słał nizko po falach. Gebeschuss nie pytał o nic, tylko sięgnął ręką i przekręcił strzałkę indykatora na „stop". Diesel odrazu umilkł. Komendant rzucił piorunującem spojrzeniem i — opanował się natychmiast. Herr Richter miał słuszność, jak zawsze. Tak jest, Anglik najspokojniej psuje mu całą robotę, dokonaną w ciągu dwuch ciężkich dni. To wreszcie zbudziło w nim zajadłość bojową. Spokojnie, szybko wydawał rozkazy.

— Wszyscy alarm! Dolny posterunek stery gotuj! Do grążenia gotuj! Prawy wylot Nr. 2 do strzału — gotuj!

— To już ostatnia nasza torpeda, Herr Richter — rzekł polubownie, chcąc się pogodzić.

— Cóż, panie komendancie, trzeba trafić...

(D. c. n.).

CLAUDE ANET

MAYERLING

1)

PROLOG

Wielka, wspaniale umeblowana komnata, o wysokiem sklepieniu. Z dwuch okien roztaczał się widok na park, pełen olbrzymich drzew, rzucających zbyt blisko cień. Parawan odgradzał od reszty pokoju łoże, na którem leżała młoda kobieta. Jej ciemno blond włosy, starannie uczesane w warkocze, tworzyły na poduszce coś nakształt aureoli. Twarz, mimo rysów wykrzywionych cierpieniem — była piękna. Napięte brwi znaczyły się prostą linją. Z wąskich ślicznych ust wydobywał się od czasu do czasu głuchy jęk. Przez ciało zakryte kołdrą przebiegały skurcze.

Obok łóżka stała mała gromadka: starzec we fraku, — na klapie ubrania błyszczał order — młodszy mężczyzna o inteligentnym wyrazie twarzy, w długiej białej bluzie, i dwie pielęgniarki. Na ich twarzach malowało się największe skupienie.

W godzinie, kiedy każda kobieta, dotknięta boleśnie w swojem ciele i wstydliwości, ma prawo być sama, kilka osób skupiło się wokoło tej, która cierpiała.

Należała bowiem do kasty, w której ani jej ból, ani jej radość nie mogą pozostać jej tajemnicą i wyłącznym udziałem. Dwudziestoletnia Elżbieta, cesarzowa Austrji, była zmuszona odbywać swój poród publicznie.

W jednem z okien stał mały, pękaty człowieczek o krótkich nogach: Jego Cesarska Wysokość, arcyksiążę Renier. Rozmawiał przyciszonym głosem z doradcą osobistym, hrabią von Buol Schauenstein. Trzy inne osobistości w mundurach galowych spoglądały milcząco w park, poprzecinany prostemi alejami, w którym zapadał już mrok. Dwie wystrojone damy, siedzące w kąciku, rozmawiały szeptem.

Mężczyzna, ubrany w ciemno-zielony mundur generała ułanów, opierał się o kominek. Miał około trzydziestu lat. Średniego wzrostu, szczupły ale nie wątły. Twarz okalały długie jasno-blond faworyty, łączące się z sobą gęstemi wąsami. Krótko przystrzyżone włosy przerzedzały się już na skroniach. Nos był nieco za mięsisty, a oczy pozbawione głębszego wyrazu. Chociaż panował nad sobą — życie, które prowadził od dziesięciu lat, jako cesarz Austrji i król Węgier, nauczyło go kontrolowania i ukrywania uczuć — nie mógł zataić wielkiego zdenerwowania, objawiającego się uderzaniem palcami prawej ręki o lewą dłoń. Gdy to klaskanie stało się zbyt głośne, przerwał je nagle i zaczął skubać wąsy. Wreszcie szybkim krokiem opuścił kominek i skierował się do okna.

Zatrzeszczały buty na posadzce. Młodą kobietę leżącą na łóżku zdenerwowało to skrzypienie i uczyniła ruch, proszący o spokój...

Znieruchomiał natychmiast.

— Wybacz mi, moje kochanie — odezwał się zdławionym głosem.

I na czubkach palców, jak skarcone dziecko, wrócił do kominka.

Godzina minęła w tym nastroju. Noc zapadała i zakłopotanie, ciążące na obecnych, stało się prawie nie do zniesienia. Każdy rozumiał — choć nikt nie formułował swojej myśli — że nie jest świadkiem dworskiej ceremonji, lecz najbardziej wzruszającego dramatu ludzkiego.

Szamerowane mundury, wspaniałe odświętne stroje, zdawały się być obelgą dla tego biednego kobiecego ciała, wijącego się w bólu. Martwą ciszę przerywały tylko jęki, które w coraz mniejszych odstępach podnosiły się z łoża cierpiącej.

Cesarz, stojący wciąż przy kominku, nie mógł chwilami opanować skrzypienia butów.

Lokaje w bogato szamerowanych liberjach wnieśli obojętnie kandelabry z płonącemi świecami. Odblask świateł zapalił się na djamentach, orderach i złoconych boazerjach.

W grupie lekarzy, skupionych przy łóżku, nastąpiło pewne poruszenie. Jeden z nich nachylił się nad młodą kobietą, która prężyła się w ostatnich bólach. Minęła jeszcze chwila, nareszcie rozległ się głośniejszy jęk. Wszystkich świadków przeszyła groza.

Cesarz, nie mogąc znieść dłużej tej męki, zawołał błagalnie.

— Mój Boże!

Następnie głowę ukrył w rękach.

Zabrzmiał krzyk bólu, a po nim nastało tak bezwzględne milczenie, iż każdy słyszał bicie własnego serca. Po chwili rozległo się kwilenie tak proste, tak ludzkie, tak świeże i mimo wszystko, tak nieoczekiwane, że oczy obecnych napełniły się łzami.

— To chłopiec — zabrzmiał wreszcie mocny i spokojny głos doktora.

— Niech Bóg będzie błogosławiony! — odpowiedział cesarz, prostując się.

* * *

Podczas gdy lekarze czynili zabiegi przy chorej, otworzono oba skrzydła drzwi do następnego salonu, by rozgłosić radosną nowinę.

Oznajmiono imię, wybrane dla następcy tronu. Nazywać się miał Rudolf, na cześć twórcy dynastji, który opuścił lasy Szwajcarji, by panować nad Austrją. Po godzinie nowonarodzony był już zaopatrzony w metrykę, sporządzoną według wszelkich formalności i datowaną z dnia dwudziestego pierwszego sierpnia tysiąc osiemset pięćdziesiątego ósmego roku. W Laxemburgu pozostali już tylko lekarze, oraz kilku dworskich urzędników na służbie.

Cesarzowa zażądała, by pokazano jej dziecko. Wykąpano je przed chwilą i niańka podała chłopczyka, zawiniętego w ciepłe kołderki.

Długo przyglądała mu się cesarzowa. Był taki wątły, delikatny, że zdawało się jej, iż nie będzie mógł żyć. Godziny, które przeszły, stanęły żywo w pamięci. Tyle ceremonji, tyle próżności i tyle zainteresowania zgromadzonego dokoła niej — i tu to dziecko zaledwie oddychające. Poczuła nad niem ciężar przeszłości nadmiernie tragicznej. Należało do rasy subtelnej, wrażliwej, zbyt słabej, by znosić ciężar nietylko władzy, ale i życia. Jego dziedzictwem była melancholja, niewspółmierna z przeznaczeniem. Jego ród nawiedzało szaleństwo, które odrywało daleko od świata i ludzi... Czem obdarzyła to malutkie kwilące stworzenie — dając mu życie? Jaki dała mu upominek? Na nim miały się później skupić niezmierzone odpowiedzialności. Zgniotą go.

W tej chwili zaskrzypiały na podłodze buty cesarza.

Zbliżył się do łoża i nachylając się nad żoną i dzieckiem, rzekł głębokim głosem:

— Nasz syn jest wspaniały. Będzie z niego szczęśliwy chłopak.

Lecz oczy matki napełniły się łzami; namiętnym ruchem przytuliła dziecko do serca.

CZĘŚĆ PIERWSZA

NASTĘPCA TRONU

W trzydzieści lat potem, przez aleje Prateru, w których zazieleniły się już drzewa, jechał galopem na koniu młody oficer. Mimo młodego wieku nosił już mundur generała dragonów. Był to mężczyzna szczupły, średniego wzrostu, ale zręczny i doskonale zbudowany. Piękne oczy posiadały dużo wyrazu.

Mijający go jeźdźcy pochylali z szacunkiem głowy, a on oddawał im z wdziękiem i swobodą ukłony.

Przy końcu alei zaczął jechać stępa, a w miejscu zwanem Gwiazdą Prateru, to jest na placu okolonym domami, jeździec zeskoczył na ziemię. Chłopak stajenny wziął konia za uzdę. Oficer stał przez chwilę sam na trotuarze, czekając na faeton, który miał po niego przyjechać. Niebawem spostrzegł powóz po drugiej stronie ulicy i zrobił kilka kroków na jego spotkanie.

Idąc wzdłuż magazynu mód, zetknął się z grupą dziewcząt opuszczających pracownie. Biegły, popychając się. Jedna z pracownic potrąciła go i omal że nie upadła. Podtrzymał ją, pomógł odzyskać równowagę, uśmiechnął się do niej uprzejmie i poszedł dalej.

Młodziutka dziewczyna spoglądała za nim, zdziwiona.

Jej koleżanki kpiły z niej:

— Ładnie! ładnie. Rzucasz się przechodniom prosto w ramiona!

Ale jedna z towarzyszek, nieco starsza, odprowadzając wzrokiem oddalającego się oficera, rzekła tonem wymówki.

— Nie wstyd ci Greto, popchnęłaś następcę tronu! Przecież to arcyksiążę Rudolf.

Młode dziewczyny przystanęły osłupiałe. Obejrzały się, ażeby rzucić wzrokiem na tę postać słynną w Wiedniu. Czy to naprawdę on zjawił się tu, jakby cudem, pośród nich? O kilka kroków dalej właśnie wskakiwał do faetonu i woźnica podawał mu lejce! Konie wspięły się i popędziły. Gdy pojazd mijał znieruchomiałe dziewczęta, książę ukłonił się im.

Uniosły się ręce, radosne uśmiechy rozjaśniły młode twarze:

— Jaki piękny! jaki miły! — powtarzały w zachwycie.

* * *

— Czy mam wysłuchać panią, jako jej spowiednik?

To pytanie zadał ojciec Bernsdorf, przełożony kolegjów jezuickich w Austrji, kobiecie raczej wysokiej i tęgiej, ubranej bez specjalnej elegancji, która była nikim innym, jak jej cesarską i królewską wysokością, arcyksiężną Stefanją, żoną następcy tronu.

Znajdowała się w gabinecie ojca Bernsdorfa, w klasztorze Jezuitów, przy ulicy Bernardynów. Nic prostszego od tego wybielonego pokoju o kamiennej podłodze. Zwykły drewniany stół, dwa fotele obite rypsem, klęcznik, tylko to stanowiło całkowite umeblowanie.

Na zapytanie jezuity księżna odpowiedziała z zaledwie dostrzegalnem zakłopotaniem:

— Nie, mój ojcze, przyszłam porozmawiać swobodnie.

Usiadła w fotelu i ruchem ręki poprosiła ojca jezuitę, by zajął drugie miejsce. Dzielił ich stół.

Należy przypuszczać, że temat, jaki miała poruszyć z ojcem jezuitą, był delikatnej natury, gdyż księżna zawahała się na chwilę. Widząc to, ojciec Bernsdorf sam przyszedł jej z pomocą, zaczynając rozmowę pytaniami o następcę tronu. Jaki był stan zdrowia?

— Nadużywa swoich sił — odparła księżna. — Wiesz dobrze, mój ojcze, że wszystko, co robi, czyni z namiętnością. Nie wiem, jak może podołać. Pracuje namiętnie, poluje namiętnie, jeździ konno namiętnie. Dni jego są wypełnione...

— Jego zdrowie jest nam tak drogie — zauważył jezuita.

Po chwili dodał:

— A czy nie mogłaby pani wywrzeć na nim swojego dobrego wpływu i wymódz godziny lub dwuch wypoczynku?

Twarz księżny zachmurzyła się.

— Nigdy go nie widuję.

Urwała, jakby żałując, że mówiła zbyt szybko.

Jej ton objaśnił wszystko jezuicie. Lecz nie okazał tego i ciągnął dalej:

— A jednak, wieczorem...

— Wieczorem — zaczęła księżna z zakłopotaniem — wieczorem... wychodzimy. Jeżeli zabiera mnie do opery, lub do Burgteatru, nie siedzi ze mną prawie wcale. Kręci się po kuluarach, albo za kulisami. Następnie spożywa kolację z przyjaciółmi... Mnie nie zaprasza i... nie bez powodu.

W oczach księżny malował się gniew.

Lecz ojciec, idąc szlakiem swojej myśli, zapytał obojętnym głosem:

— A później?

— Na to pytanie, zbyt wyraźne, nie otrzymał żadnej odpowiedzi... Należało wyjaśnić inny punkt. Po kilku sekundach, ojciec dorzucił drugie pytanie:

— Oddawna?

Znowu milczenie, które zdawało się ciągnąć w nieskończoność. Ojciec, który mówił z opuszczonemi powiekami, uniósł wzrok. Ujrzał przed sobą kobietę zmieszaną, rumieniącą się, o pierzchającem przed nim spojrzeniu. Milczenie stawało się coraz cięższe.

Wreszcie księżna odezwała się. Zwróciła się twarzą do stołu i szepnęła:

— Od roku.

Mimo swojego opanowania, ojciec nie mógł powstrzymać wyrazu zdumienia. Nieporozumienie, trwające od roku w pożyciu małżeńskiem następcy tronu, było rzeczą poważną, następstwa nie do przewidzenia... Trzeba było rozważyć to w spokoju, dać o tem znać...

Gdy zaczął mówić, głos nie wskazywał żadnego podniecenia.

— Dlaczego nie powiedziała mi pani o tem wcześniej? — zapytał.

— To tak delikatna sprawa, mój ojcze — ciągnęła księżna wciąż jeszcze zmieszanym tonem. — Sytuacja mogła się zmienić z dnia na dzień. Nie zaszło nic między nami, rozumiesz mnie ojcze, co by nas mogło rozłączyć. Myślałam co wieczór, że może Rudolf wróci.

(D. c. n.).